

77712

RYSZARD SKULSKI

zle. ofortme

JULIUSZ KLEINER
JAKO NAUCZYCIEL

NADBITKA Z KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ
KU UCZCZENIU CZTERDZIESTOLECIA PRACY NAUKOWEJ
PROF. DRA JULIUSZA KLEINERA

ODDZIAŁ ŁÓDZKI TOWARZYSTWA LITERACKIEGO
im. ADAMA MICKIEWICZA
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „POLONISTA“
ŁÓDŹ 1949

Ryszard Skulski

JULIUSZ KLEINER JAKO NAUCZYCIEL

Kiedy na jubileusz czterdziestolecia pracy naukowej posłałem prof. Kleinerowi życzenia, on nawiązując do naszych wspólnych wspomnień sprzed 34 lata, kiedy jako aplikant odbywałem pod jego kierownictwem swoje prymicje nauczycielskie, odpowiedział mi m. in.: „Czułem się zawsze i czuję się dziś jeszcze przede wszystkim nauczycielem”.

Wezwany jakiś czas potem przez Komitet uczniów i przyjaciół jubilatą do uczestnictwa w jego księdze pamiątkowej, postanowiłem do słów wypowiedzianych przez mistrza dać wyjaśniający, egzegetyczny komentarz. Niestety najrozmaitsze przeszkody czasu i przestrzeni nie pozwalają mi na ujęcie tego tematu w formie wyczerpującej rozprawy. Brak mi np. dziś pod ręką dzieł prof. Kleinera, na podstawie których mógłbym przede wszystkim *in flagranti* uchwycić fenomenalny talent popularyzatorski czcigodnego autora, brak mi jego wypowiedzi na najrozmaitsze ankiety i kwestionariusze w sprawach szkolnych, brak mi wykazu tytułów jego ćwiczeń uniwersyteckich z zakresu dydaktyki polonistycznej i żywych głosów uczestników tychże. Wobec tych braków zamiast rozprawy mogę dać jedynie drobny przyczynek, w którym głównym trzonem będą moje wspomnienia z czasów aplikantury a także współpracy w redakcji literackiej Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich ¹⁾.

Wspomnienia chciałbym rozpocząć od pierwszych dni września 1912 roku, kiedy dowiedziałem się, że zostałem przyjęty na kurs aplikancki w VI gimnazjum lwowskim (przy ul. Łyczakowskiej 37) i że zostałem przydzielony „do terminu” u mistrza Kleinera. Nie okazy-

wałem wtedy zbytniego zadowolenia ani wobec siebie, ani przed kolegami.

Więc to nie Stanisław Maykowski, który dla nas starszych słuchaczów-polonistów był prawdziwym bożyszczem i u którego praktyka nauczycielska była punktem ambicji i celem dłuższych nieraz zabiegów. Więc to nie poeta, pełen twórczego rozmachu, zapamiętały wróg nudy szkolnej, świetny recytator i swoją postawą zniewalający ku sobie wszystkich bez mała uczniów²).

A kim był Kleiner w roku 1912 według naszej przeciętnej opinii? Był pomimo swojego młodego wieku uczonym, świeżo habilitowanym docentem uniwersytetu, był prawdziwym fenomenem, o którego legendę uniwersytecką (propagowaną intensywnie m. in. przez Stanisława Wasylewskiego i Tadeusza Dąbrowskiego) ocieraliśmy się cały czas naszych studiów uniwersyteckich w latach 1908—1912. Nie przypuszczali moi koledzy -- i ja razem z nimi -- ażeby Kleiner, któremu już pierwsze występy na ćwiczeniach i seminariach prof. Kallenbacha i Bruchnalskiego zapowiadały karierę uniwersytecką, ażeby teraz po osiągnięciu doktoratu *sub auspiciis imperatoris*, po odbyciu studiów zagranicznych w Berlinie i Paryżu, po napisaniu cennych rozpraw o Słowackim, a przede wszystkim *Dziejów myśli Krasińskiego*, miał okazywać jakieś zainteresowania dla szarej i codziennej pracy szkolnej.

Słuszność historyczna przyznać też może, że system ówczesnych studiów filozoficznych posiadał minimalne nachylenie dydaktyczne. Jeżeli mogę tu oprzeć się na zasięgu moich wspomnień uniwersyteckich, to ani prof. Kallenbach, ani Bruchnalski nie ogłaszali nigdy wykładów z dziedziny dydaktyki, dziedzinę tę uprawiał jedynie ówczesny docent Konstanty Wojciechowski. Uniwersytet lwowski nie dawał absolwentom swoim praktycznego przygotowania do zawodu nauczycielskiego. Uwzględniając ten brak jeszcze w roku 1897 ówczesny wiceprezydent Rady Szkolnej Krajowej Bobrzyński polecił zorganizować kurs hospitantów i przeprowadzeniem jego obarczył kierownika oddziałów równorzędnych gimnazjum III dra Antoniego Danysza, docenta pedagogiki i dydaktyki w uniwersytecie. Wraz z utworzeniem w roku 1902 gimnazjum VI i objęciem dyrektury tegoż zakładu przez Danysza również i kurs hospitantów został tamże przeniesiony. Kurs ten opierał się na podstawach referatu dyr. Danysza, wygłoszonego na drugiej konferencji dyrektorów szkół średnich galicyjskich, a dalszą organizacyjną rozbudowę zyskał w publikacji prof. gimnazjum VI Bronisława Bandrowskiego pt. *Projekt regulaminu kursu hospitantów gimnazjum VI we Lwowie*³). Projekt ten nabrał charakteru oficjalnego, gdyż uchwa-

lony na konferencji grona nauczycielskiego w dniu 25 lutego 1910 r. został następnie zatwierdzony przez Radę Szkolną Krajową. Aplikanci byli więc właściwie osobami urzędowymi, bo choć nie składali przysięgi służbowej, ale pobierali zasiłki miesięczne i podlegali dyscyplinie urzędowej. Było ich zwykle 6—9 rocznie, ale zespół ich był zupełnie przypadkowy (mogło być nawet trzech polonistów a ani jeden matematyk). Zostali oddawani w ręce rutynowanych mistrzów, którzy stawali się wychowawcami, piastunami ich pierwszych kroków w szkole a zarazem pośrednikami w hierarchii służbowej. Przez istnienie takiego kursu wytwarzała się w gimnazjum specjalna atmosfera, nastroj podniosły, niemal świąteczny, zakład stawał się szkołą wzorową.

Charakteru tego nie straciło gimnazjum VI również i po przejściu na emeryturę jego pierwszego dyrektora Danysza w roku 1909. Składała się na to nie tylko wyjątkowa indywidualność nowego dyrektora Konstantego Wojciechowskiego, łączącego w sobie zalety zarówno wybitnego naukowca, jak i wypróbowanego praktyka⁴⁾, ale też i szczęśliwy zespół grona nauczycielskiego, wśród którego wiele było osób dobrze zapisanych w świecie naukowym i w szkole, np. profesor uniwersytetu dr Jan Oko, ówczesny docent lwowski dr Franciszek Krček, przedwcześnie zmarły tragicznie dr Bronisław Bandrowski, późniejszy historyk VI gimnazjum Lesław Jaworski⁵⁾, dr Józef Fritz, dr Roman Dreżepolski, Maciej Rataj, dr Jan Piątek i in. Młodzież była wyjątkowo karna i zdyscyplinowana. Kadry jej wypełniali przeważnie wychowankowie burs i internatów, a przede wszystkim alumni Małego Seminarium Duchownego (od roku 1906/7). W czasie mojej praktyki nie przypominam sobie żadnych konferencji dyscyplinarnych, tylko przerwy spędzane obowiązkowo na boisku szkolnym były rojne i gwarne, grały wówczas temperamenty, hamowane w czasie lekcji świetną trefurą wychowawczą. „Kandydata zawodu nauczycielskiego” — taki był nasz oficjalny charakter służbowy — uderzał już na pierwszy rzut oka nadzwyczajny ład i porządek panujący w szkole. W każdej klasie była do użytku uczniów apteczka podręczna, którą zawiadywali z wielkim namaszczeniem „sanitariusze”, oraz przybory toaletowe (miedniczka, dzbanek wody, mydło, wiaderko, ręcznik). Życie wewnętrzne szkoły było unormowane nie tylko oficjalnymi przepisami, które gospodarze klas na początku roku przypominali uczniom, ale także specjalnymi regulaminami dla szkoły w ogóle i dla klas specjalnie. Nie było jeszcze „wychowawstwa”, ale w tej szkole galicyjskiej z nazwy a arcy-polskiej z ducha stawały już do apelu pierwsze kadry polskiego harcerstwa (XI i XII drużyna lwowska), w Towarzystwie Zabaw Rucho-

wych odbywały się inicjacje sportowe niejednego z późniejszych mistrzów lwowskich, a w kółku polonistycznym (od r. 1910) toczyły się rozgrywki intelektualne przyszłych wielkości i sław.

Nad światem unosiło się już wtedy widmo wojny europejskiej. Niepewne stosunki polityczne panujące na półwyspie bałkańskim powodowały to, że rząd austriacki we wszystkich swoich prowincjach, a więc też i we Lwowie utrzymywał stan ciągłego pogotowia. O mury VI gimnazjum, leżącego przy głównym trakcie rozjazdowym obijał się też niejednokrotnie w owym czasie głuchy pomruk przejeżdżających dział lub też tupot nóg świeżo zmobilizowanych rezerw piechoty czy naszych własnych drużyn strzeleckich. Na ten powiew nowych wydarzeń, na tchnienie historii reagował najwidoczniej zakład szkolny. Pod świetnym kierownictwem Konstantego Wojciechowskiego stracił swoją *splendid isolation* poprzedniego dyrektora Danysza, miał oczy otwarte na wypadki bieżące i na każdym odcinku życia szkolnego realizował (później tak popularną i okrzyczaną) zasadę aktualizacji. Oczywiście analogiczne stosunki z pewnymi odchyleniami czy modyfikacjami panowały także i w innych lwowskich gimnazjach; każde z nich stanowiło dla siebie odrębny świat i pisało swoje dzieje, czy np. najstarsze gimnazjum polskie im. Franciszka Józefa, późniejsze im. Batorego, czy gimnazjum IV, do którego uczęszczał Kleiner przez osiem lat jako uczeń, czy gimnazjum VII, w którym zaraz po ukończeniu studiów uniwersyteckich w r. 1908/9 odbywał swoje prymicje nauczycielskie. Tak, to prawda, tylko w gimnazjum VI, dzięki specjalnym warunkom chłonność psychiczna młodzieży była naprawdę większa, a percepcja dydaktyczno-pedagogiczna bezwarunkowo wyraźniejsza.

My, aplikanci tego wzorowego gimnazjum, po odbyciu wstępnej konferencji i po objęciu referatów pisemnych z tradycyjnego kompendium dydaktycznego: *Weisungen zur Führung des Lehramtes*, rozpoczęliśmy z miejsca praktykę u naszych mistrzów. Prof. Kleiner uczył polskiego w klasie III, VI i VII. Otrzymałem polecenie hospitowania w pierwszym półroczu klasy III, a w drugim także klasy VI. Tak jak każdego młodego nauczyciela pasjonowało mnie w szkole wszystko, a więc najpierw postawa mojego mistrza i jego stosunek do młodzieży. Nie było w tym ani sztucznej pozy uczonego (pomimo długiego stale surduta i szpilki opalowej), ani też zbytnej pobłażliwości dla uczniów (pomimo tradycyjnej dobroci mistrza i jego złotego serca) — był natomiast naturalny zupełnie stosunek starszego przyjaciela do młodych, stosunek zaprawiony dużą dozą serdeczności i beztróskiego humoru.

Na lekcjach prof. Kleinera nie słyszałem nigdy moralizowania, a nie wszyscy uczniowie byli święci. Nieraz nawet pragnąłem widzieć profesora w roli wychowawcy, czyli, jak wtedy mówiono, gospodarza klasy, zaobserwować u niego większy wkład energii wychowawczej, ale profesor z tytułu swojej docentury miał zniżkę godzin i w żadnej klasie nie spełniał funkcji wychowawczych. Były to czasy świeżo rozpoczętej walki z notesem szkolnym i słabszego — co za tym idzie — egzekwowania wiadomości, a w związku z tym zawsze podziwiałem intuicję profesora w ocenie i klasyfikowaniu uczniów. Nazywałem to intuicją niewłaściwie, gdyż dla mnie, początkującego nauczyciela, przy całym moim totalnym nastawieniu na proces nauczania, sprawa wartościowania wiadomości uczniów nie była żadnym problemem, była czymś wtórnym i naprawdę obojętnym, natomiast dla mojego mistrza, przy jego znajomości życia szkoły, była stanowczo aktem świadomej rozwagi, co się szczególnie manifestowało na konferencjach klasyfikacyjnych i dyskusjach polekcyjnych.

Jeżeli teraz chodzi o konspekty lekcji prowadzonych przez prof. Kleinera, to nie miały one w sobie nic z drillu i szablonu dydaktycznego. Nie było w nich żadnego schematyzowania, nawet reprodukcja była zawsze nowym ujęciem opanowanej już treści; lekcje były zawsze żywe, ciekawe, interesujące. Przyczyniał się zaś do tego w wysokiej mierze brak skrępowania jakimś z góry narzuconymi planami. Nie było w naszej szkole jeszcze rozkładu materiału naukowego, który by na poszczególne okresy, miesiące, tygodnie, czy dni przewidywał z góry sztywne konspekty lekcyjne. Profesor — tak jak ja się orientowałem — kierował się najczęściej przy doborze materiału lekturalnego uzewnętrznionymi zainteresowaniami uczniów, rzadziej narzucał im sam swoje plany. Protokoły z lekcji pisać było łatwo, bo widać zawsze było nić przewodnią lekcji i cele, do których zmierzała, ale trudniej było układać własny konspekt dla lekcji prowadzonej przez profesora. Wtedy dopiero dostrzegało się z przerażeniem własną małość i brak pomysłowości. Tempo lekcji było uwarunkowane przede wszystkim bogatą indywidualnością profesora, który animując, biczując uwagę uczniów i ujmując ją w łożysko swoich dydaktycznych zamierzeń okazywał się niepoślednim psychologiem i pomimo swego młodego wieku dojrziałym *szulmanem*. Ja podziwiałem zawsze u mistrza sposób formułowania pytań, a były to czasy, w których metoda erotematyczna zdobywała sobie coraz więcej uznania. Jasność, precyzja myśli, ekonomia słów prawie nigdy nie domagały się potrzeby pytań dodatkowych. I jeszcze jedna rzecz, którą młody nauczyciel musi zdo-

bywać długą, wieloletnią rutyną, to umiejętność dostosowywania pytań do poziomu umysłowego klasy. Dla mnie to były zawsze trudne, arcytrudne problemy — przechodzenie z klasy III do VI, czy odwrotnie, przeobrażanie się duchowe, zmiana nastawienia umysłowego i wekslowanie myśli i słów, a to wszystko u mojego mistrza było zjawiskiem zupełnie naturalnym i zautomatyzowanym. Dopiero po latach doświadczeń dochodzi nauczyciel do przekonania, że każda klasa nastrojona jest na pewien psychiczny ton, który trzeba odszukać i uchwycić. Nieraz nawet i równorzędne klasy wymagają odmiennych metod i zabiegów dydaktycznych. W klasach na różnym poziomie jest to problem mniej skomplikowany; do opanowywania go służy skutecznie sam materiał nauczania. W naszym wypadku klasa III stanowiła niższy a VI wyższy stopień nauczania; przedmiotem nauczania były wypisy, tam historia literatury.

Prócz tego lekcje III klasy obejmowały gramatykę polską. Jeżeli już o tym mowa, warto przypomnieć z tego zakresu kilka szczegółów ogólniejszej natury. Jak podnoszą liczne wspomnienia owych czasów, a także i roczniki czasopism pedagogicznych (*Muzeum i Szkoła*), gramatyki uczono w szkołach galicyjskich bardzo mało, a jeżeli znalazł się jakiś polonista-gramatyk, to jego lekcje stawały się bardzo często jeszcze jedną piłą szkolną. Nie znaczy to jednak, żeby uczniowie owocześni gramatyki polskiej nie znali; dzięki dokładnej a wyczerpującej nauce języków starożytnych mieli oni sposobność uzupełnienia swych braków w dziedzinie morfologii i składni polskiej. Oczywiście to zupełnie nie wystarczało i było ciemniejszą stroną w historii nauczania języka polskiego, zwłaszcza w zestawieniu z czasami nowymi i najnowszymi. Dzisiejsi poloniści dzięki świetnie rozbudowanym i wysoko postawionym studiom akademickim z zakresu nauki o języku są w szkole dzisiejszej prawdziwymi entuzjastami (nieraz nawet i fanatykami) nauki o języku. Tak! To jest dzisiaj, a dawniej było inaczej: w gimnazjum VI nauka gramatyki stała natomiast wyjątkowo wysoko. Jej głównym koryfeuszem był prof. Krček, docent języka polskiego w Uniwersytecie J. K., którego lekcje szkolne od czasu do czasu hospitałem. Prof. Krček prowadził lekcje gramatyki *magno cum apparatu*; stanowiły one dla siebie jednostki metodyczne i mówiło się o nich w kole aplikantów bardzo wiele. Nie powiedziałbym jednak, ażeby lekcje gramatyki prof. Kleinera odbiegały zbyt daleko od lekcji prof. Krčeka. Może różniły się tylko sposobem dawkowania, bo prof. Kleiner, jak się później dowiedziałem, idąc za wskazaniem dyr. Wojciechowskiego, nigdy nie uczył gramatyki przez całą godzinę, lecz za-

ledwie 10 czy 15 minut, ale za to stale i systematycznie dołączał te partie gramatyczne do każdej swej lekcji i w ten sposób każda lekcja zaczynała się od gramatyki. Natomiast metody stosowane przez obu profesorów były zupełnie analogiczne. Odrzucono dotychczasową ma-
lecczyzną⁶⁾ z jej normatywnością, regułami i wyjątkami, a uczniowie sami z wyszukanych przykładów dochodzili do pewnych ogólniejszych norm i przepisów. Materiał nauczania był bardzo wdzięczny i sprzyjał tego rodzaju eksperymentom dydaktycznym, bo obejmował w klasie III deklinację rzeczownika. Żałowałem bardzo, że nie widziałem w szkole w ten sposób ujętej fonetyki czy składni.

Gramatyka nie była jednak terenem właściwego wyżywiania się dydaktycznego u profesora Kleinera. Główny nacisk położony został — i słusznie — na *l e k t u r ę*. Były to właśnie czasy, kiedy szkoła polska otrzymała dla trzech najniższych klas gimnazjalnych nowe *Czytania polskie*, a autorem ich był właśnie długoletni profesor gimnazjum VI dr Marian Reiter. Czytania te były dla nowoczesnego szkolnictwa galicyjskiego prawdziwą rewelacją⁷⁾, były entuzjastycznym nurtem nowości i piękna. W historii polskiego podręcznikarstwa zaszedł po raz pierwszy wypadek, że wydawca zerwał z dotychczasową metodą „wycinankową”, tj. wycinania fragmentów z większych całości albo wcielania *per fas et nefas* gotowych już utworów literackich, a wprowadził natomiast do książek także czytanki specjalnie zamówione u najwybitniejszych autorów współczesnych. Prof. Kleiner był wielbicielem *Czytań* Reitera; uczył mnie rozkoszować się ich wysokoprocentowymi walorami treści i formy i znajdował w nich świetny materiał do rozwijania swego fenomenalnego talentu dydaktycznego. U mnie zaś, w świadomości młodego nauczyciela, książka Reitera sprzęgła się z nauczycielstwem Kleinera w jedną symfoniczną całość i nie wyobrażałem sobie, żeby mogło być inaczej; żeby Kleiner mógł uczyć z innej czytanki, albo żeby ona mogła służyć byle jakiemu nauczycielowi-rzemieślnikowi.

Lekcje prof. Kleinera prowadzone z *Czytań* Reitera były dla mnie w początkowej swej fazie jakby duchowym zachłyśnięciem się. Wychowany w prymitywie dydaktycznym „czytaj dalej”, oszołomiony byłem głębią warsztatu intelektualnego i artystycznego nauczyciela-polonisty. Wrażliwa pamięć młodego nauczyciela notowała na długie lata z seismograficzną dokładnością chwytły metodyczne mistrza i dopiero po upływie pewnego czasu potrafiła je nazwać po imieniu. Manifestował się w tych lekcjach uniwersalizm profesora, a to przez szerokie uwzględnienie momentów estetycznych, filozoficznych, muzycznych

i plastycznych. Szczególnie instruktywne wydawały mi się opisy obrazów, parafrazy, ćwiczenia stylistyczne, słownikowe (tak!) i redakcyjne (tak!), wydobywające istotę rzeczy i skracające tekst do połowy, czy jednej czwartej. Kiedyś po latach ucząc się z Wóycickiego *Rozbioru literackiego w szkole* — stwierdziłem z zadowoleniem, że nauczyłem się tego już w czasie mojej aplikantury u Kleinera. Oparcie tego rozbioru na momentach przeżyciowych uczniów ułatwiały profesorowi jego wybitne zdolności recytatorskie, którymi wypowiadał się nie tylko wyjątkowy nauczyciel, ale i artysta.

Tak i to jest sedno sprawy! Nauczyłem się u Kleinera tej prawdy, że dydaktyka polonistyczna to rzecz nie tylko sprawności intelektualnej, ale też i pewien wkład artyzmu, i polonista bez skrzydeł pozostanie zawsze tylko — rzemieślnikiem.

Lekcje w klasie VI przenosiły mnie w świat zupełnie inny. Przedmiotem nauczania była tu historia literatury staropolskiej, a sloganem dydaktycznym było zrywanie z gotowymi sądami i ocenami, a szukanie przez uczniów bezpośredniego kontaktu z autorami. Poza Kochanowskim, Krasickim nie zawsze można było liczyć w lekturze na momenty przeżyciowe czy aktualizacje, ale umiarkowana i dyskretna (tak!) erotematyka ułatwiła bardzo przeniknięcie poznawcze utworów. Opracowanie ich w szkole było urozmaicane przez wykłady informacyjne lub syntetyzujące. Były one zawsze pod każdym względem wzorowe i jak zawsze u prof. Kleinera nadawały się z miejsca do druku. Zgodnie z zasadami psychologii szkolnej prof. Kleiner lubił często wykłady przerywać, kontrolował uwagę swoich słuchaczy przez pytania pobudzające i prowadził rzecz dalej. Wykłady te były zawsze oryginalne i nie było w nich żadnych wyświechtanych komunałów czy też obcych opinii i ocen. Miałem możliwość przeprowadzenia kontroli mistrza, gdyż przygotowywałem się w owym czasie do egzaminu nauczycielskiego i rygorozów, więc z kompendiów uniwersyteckich przyswoiłem sobie aż nadto dobrze wszystkie ważniejsze sądy i opinie. Podziwiałem też często wysokiej klasy talent popularyzatorski profesora. Nie mówił ani za mądrze, ani zbyt prosto — mówił w sam raz i umiał znaleźć zawsze złotą linię środka. Kol. Balicki w następnym roku szkolnym przysłuchiwał się lekcjom profesora w klasie VIII, a równocześnie uczęszczał na jego wykłady uniwersyteckie, a że tu i tam był na wokandzie Słowacki, miał więc doskonałą sposobność do przeprowadzania paraleli jednych i drugich wykładów i przekonywania się *ad oculos*, w jaki sposób wiedza uniwersytecka była przeredagowywana na warsztat szkolny. Jedyńm podręcznikiem, który miał służyć w szkole

nauce literatury staropolskiej, to były *Wypisy polskie dla klas wyższych szkół średnich — część pierwsza* pióra Ch r z ą n o w s k i e g o - W o j c i e c h o w s k i e g o. Właśnie w ciągu roku 1912/13 opuściły one oficyny drukarskie i rozpoczynały swój zbożny żywot w szkole polskiej. Były one realizacją ówczesnej dydaktyki polonistycznej, której dyr. Wojciechowski *magna pars fuit*. Niestety nie wszyscy uczniowie klasy VI podręcznik ten mieli w rękach, toteż o jego promieniowaniu i o związku z tokiem ówczesnej nauki szkolnej nie można mówić.

Wreszcie na zakończenie mojego obrazu działalności nauczycielskiej prof. Kleinera jeszcze parę słów o części pisemnej, o zadaniach. Tematy wypracowań, czy w klasie III, czy w VI nie miały w sobie nic z banału szkolnego, były zawsze animujące i fascynowały urokiem nowości. Poprawa zaś zadań była zawsze bardzo dokładna (ileż to błędów przeoczonych wykrywał jeszcze mistrz w poprawie swego aplikanta), ale była wielka tolerancja wypowiedzi uczniów. I ten rys zasługuje na szczególne podkreślenie. Błędy gramatyczno-językowe czy stylistyczne były piętnowane dosadnie, ale przy tym wszystkim profesor nie narzucał uczniom swoich ujęć czy słów, pozwalał im wypowiedzieć się dowoli i umiał doszukać się nieraz w mgławicy czy chaosie własnego wyrazu, własnego ja. Szczególnie pieczołowicie pielęgnował mistrz zaobserwowane wnikliwie pierwsze „pączki literackie”, zajmował się nimi specjalnie i podnosił publicznie ich rozwój. Lekcja poprawy zadań nie wypadła zaraz na drugi dzień — jak chcą niektórzy metodycy — ale była zawsze bardzo solidnie przygotowana i poprzedzana osobną konferencją z aplikantem — a dla uczniów była prawdziwym świętem pracy i nagrodą za poniesione trudy.

Prof. Kleiner i na tym polu, jak i na innych odcinkach życia szkolnego widział zawsze w swoim uczniu człowieka, który walczy zapamiętałe i uporczywie o własny kształt duchowy i jego swoisty wyraz. Kiedy dziś po-tylu latach piszę te wspomnienia z czasów mojej aplikantury u prof. Kleinera, stwierdzam publicznie, że nauczyłem się od niego wiele, i z uczuciem prawdziwej wdzięczności sięgam zawsze do tego roku terminowania zawodowego u mistrza. Na zakończenie jeszcze jedna uwaga: prof. Kleiner dla towarzysza i świadka swoich trudów nauczycielskich był doskonałym przełożonym; poleceń nie wydawał nigdy w formie rozkazów, zawsze prosił, umiał być wyrozumiały i pobłażliwy dla rozmaitych uchybień młodości, a zwłaszcza świetnym obrońcą przed argusowym wzrokiem dyrektora.

Życzliwością swą darzył mnie prof. Kleiner już odtąd stale, bo choć nasze drogi życiowe rozeszły się w czasie pierwszej wojny światowej,

ale i później znowu się zeszyły we Lwowie w pracach Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza i w Ossolineum. Tu właśnie jako referent literacki Wydawnictwa Ossolineum miałem honor obserwować swego dawnego mistrza przy współpracy nad powstawaniem czytanek Balickiego-Maykowskiego.

Zanim te piękne książki opuściły oficyny drukarskie jednego z najważniejszych instytutów wydawniczych w Polsce, zanim rozpoczęły swój triumfalny pochód po wszystkich dzielnicach kraju, przechodziły dłuższy okres planowania i montażu. Czytanki Balickiego-Maykowskiego powstawały w wyjątkowej dla siebie koniunkturze. *Czytania* Reitera pomimo swoich oczywistych walorów z biegiem lat „opatrzyły się” (taki jest los najudatniejszych nawet podręczników szkolnych), a przez to, że wraz z wskrzeszeniem niepodległości państwowej nie uległy koniecznym przeróbkom, przez ten zasadniczy brak uwzględnienia nowej rzeczywistości polskiej, uchodzić mogły i uchodziły za produkt niewoli. Również *Wypisy* Wojciechowskiego dla stopnia średniego i klasy VI z powodu przedwczesnej śmierci autora w roku 1924 zostały powstrzymane w swoim zasięgu promieniowania społecznego.

Było więc w szkole polskiej aż nadto wiele miejsca na nowe książki, które by uzewnętrzniły w sobie pełny entuzjazm świeżo odzyskanej wolności politycznej. Obaj wydawcy umieli w planach swoich uchwycić *in flagranti* ten nurt nowej rzeczywistości polskiej, tylko realizacja tych planów nastroczała wiele trudności. Autorzy, u których wydawcy zamawiali fragmenty do swoich czytanek, podszeptując im pewne zamierzenia dydaktyczne, czy pedagogiczne, po prostu nie umieli pisać *ad usum delphini*. W pełnym poczuciu swobody twórczej ignorowali często (nieraz i świadomie) wskazania wydawców i przysyłałi im całe nowele. Rozpoczęły się ożywione dyskusje, czy rzeczy te zasadniczo nadają się do czytanek, a jeżeli tak, jak je przysposobić do użytku szkolnego, jak je skrócić, czy przykroić, ażeby nie uroniły nic ze swojego immanentnego piękna, ale ażeby służyły zamierzonym celom. Ponad wszystkimi kwestiami wątpliwymi górował zasadniczy problem: czy czytanki mają być wypełnione tylko żywiołem nowoczesności, a więc czy mają obsługiwać je tylko autorzy współcześni, czy też mają w nich być uwzględnieni również i autorzy dawniejsi. Obaj wydawcy reprezentowali w tej sprawie pogląd pierwszy, natomiast redakcja literacka, której szefem był prof. Stanisław Łempicki, przechylała się do zdania ostatniego. I tu właśnie zaznaczyła się mediatorska rola prof. Kleinera, który w wydawnictwie zażywał opinii najwyższego autorytetu zarówno w sprawach szkoły, jak i literatury. Profesor Kleiner rozstrzygnął ten

pryncypialny spór kompromisowo i stąd w *Kraju lat dziecinnych* starsza poezja znalazła schron w osobnym dodatku nazwanym *Skarbczykiem poezji*. Prof. Kleiner — trzeba to podkreślić — od pierwszych chwil opracowywania czytanek był ich dobrym duchem opiekuńczym, udzielał w wielu kwestiach porad i wskazówek, brał stale udział w posiedzeniach komitetu redakcyjnego i wypowiadał opinie nacechowane zarówno subtelnym znawstwem literatury współczesnej, jak i zdrowym realizmem dydaktycznym i pedagogicznym. Rzecz zasługująca na podniesienie: szkoła polska przechodziła w owym czasie najrozmaitsze reformy ustrojowe, programowe, metodyczne, ale prof. Kleiner był zawsze *au courant* wszelkich nowości i jego uczniowie pracujący również i w moich ćwiczeniach uniwersyteckich wykazywali zawsze doskonałą orientację.

Z biegiem lat nawiązał prof. Kleiner jeszcze ściślejszy kontakt ze szkołą polską, bo stał się też i czynnym współpracownikiem czytanek Balickiego-Maykowskiego. Dla trzeciego ich tomu w pierwszym rzucie redakcyjnym (*Miej serce*) opracował ustęp: *Nagroda Nobla*, a dla drugiego tomu *Mówią wieki* (wyd. w r. 1938) opracował dwa ustępy: *Mikołaj Rej z Nagłowic* i *Jan Kochanowski*. Pierwszy utrzymany jest w tonie beletryzującym, dwa ostatnie pisane w stylu wybitnie referującym, są świetnym pokazem nauki literatury na tym stopniu nauczania.

Ale to wszystko to tylko prolegomena do najważniejszej i najpoważniejszej pozycji w książkach Balickiego - Maykowskiego, a jest nią bezsprzecznie *Zarys dziejów literatury polskiej*. Nie ukazał się on od razu i wychodził w kilku rzutach, kilku redakcjach. Najpierw w roku 1932 opuścił oficyny drukarskie Ossolineum tom pierwszy, jako część składowa (druga) *Literatury polskiej dla klas wyższych szkół średnich ogólnokształcących*. Tom ten obejmował materiał do końca rządów Stanisława Augusta, ale w wydaniu drugim i trzecim z roku 1938, wraz z przeznaczeniem dla klasy pierwszej liceów ogólnokształcących i w łączności z dziejami języka polskiego uzupełniony został do powstania listopadowego. Tom drugi przeznaczony dla klasy II liceów ogólnokształcących objął materiał od wielkiej poezji emigracyjnej do literatury nowego państwa polskiego, a ukazał się w roku 1939.

Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny została wykończona i oddana do użytku młodzieży naszej książka, na którą szkoła polska czekała długo w swoim pochodzie dziejowym. Ale powiedzmy od razu z góry, ażeby znaleźć należyłą skalę jej oceny i właściwy kąt spojrzenia na nią. Nie jest to tylko podręcznik szkolny, w którym autor za-

myka swoje aspiracje i specjalne umiłowania życiowe, nie jest to też marginesowy odprysk jego pracy badawczej, to jest coś więcej: to jest dostały owoc całego życia, to jest synteza, do której po długiej drodze doszedł czujący obywatel, najlepszy Polak-patriota. Książka posiada wyraźne znamię wielkości, monumentalności, bo bije takim entuzjazmem prawdy i piękna, pulsuje takim rytmem energii intelektualnej, narzuca takie bogactwo problemów, że może z niej korzystać każdy, kto pragnie iść w zwyż *ad astra*.

Nie podobna w ramach niniejszego szkicu okolicznościowego wyczerpać całą jej głębię, całą jej zawartość, musimy się ograniczyć tylko do uwag ogólnych.

Książka jest arcybogata.

Znajdzie w niej wiele materiału dla siebie polityk-statysta, chociażby np. z takiej kapitalnej oceny *Ogniem i mieczem* (II, 170): „To coś więcej niżli powieść historyczna i coś naprawdę innego: przemienienie dynamiki dziejów w powieść, lawina wypadków, w której istotą walczącą, porwaną przez moce losu i tymi mocami władnącą, jest zbiorowość, naród. Mniejsza o to, że nigdy nie istniał taki Jeremi, jakiego w mrocznym od krwi poemacie wojennym wywyższył Sienkiewicz. Ważne jest i dla dzieła sztuki istotne, że odsłania się całkowita nieubłagana logika zmagających straszliwych. Rozumiemy i czujemy, że dwa te światy, które stanęły przeciw sobie, muszą się krwawić w bezlitosnych bojach. Ludzie porwani są tu prądem życia narodów. Władza siła od jednostek potężniejsza”.

Spółcznik czytać będzie z zadowoleniem, porozsiewane po całej książce rozumne poglądy autora na rozmaite zagadnienia społeczne, a poglądów tych i dziś nie potrzebuje autor zmieniać ani modyfikować.

Historyk kultury rozkoszować się będzie przepysznyimi obrazami kultury, na których tle stawiana jest stale literatura. Łączy się ona nieustannie z całokształtem życia duchowego narodu, a splata się też organicznie z wytwórczością duchową całej ludzkości. Zdobyczą książki, chyba największą, jest pokazanie aspektów ogólnoludzkich literatury polskiej, podkreślanie (ale bez najmniejszego cienia megalomanii) jej wkładu do ogólnoswiatowego dorobku cywilizacyjno-kulturalnego, ale też i systematyczne wykazywanie, czego literatura nasza uczyła się przez swoje kontakty ze światem, z ludzkością. Osobliwą zaletę książki wykazują właśnie jej partie z literatury powszechnej. Nie są one ujęte w osobne rozdziały, nie ograniczają się do rejestru nazwisk i tytułów, ale oplatają się około sylwetek pisarzy polskich albo dostarczają żywych rysów do charakterystyki prądów i kierunków.

Historyk literatury zachwycać się będzie encyklopedycznością książki. Nie ma takich problemów i zagadnień literackich, których by autor nie rozstrzygnął i nie omówił, a mogą to być nieraz i sprawy wtórne lub nawet ciekawostki. Wykazał on najpełniejszą suwerenność w tym zakresie: udowodnił np., że na polu mediiewalistyki czy baroku jest równie wybitnym znawcą przedmiotu, jak i w dziedzinie specjalnie przez siebie umiłowanej: w literaturze romantycznej. Nie wszystkie kwestie mogły znaleźć omówienie w tekście, niektóre pomieszczone zostały w odsyłaczach: np. rozróżnienie pomiędzy renesansem a humanizmem (I wyd. z r. 1932, 29), pojęcie realizmu (II, 42), życiorys Towiańskiego (II, 49). W książce swej dał autor również folę postulatów rewizjonizmu. Sąd Kleinera jest zawsze uczciwy i rzetelny, wolny od jakiegokolwiek patyny brązowniczej; z wielu przykładów zacytuje np. omówienie stosunku Krasickiego do dworu pruskiego (I, 182) lub postawy Mickiewicza wobec powstania (II, 15). W ocenach ludzi i faktów nie uznaje autor żadnej łatwizny ani konwensu myślowego. Nie ma w jego literaturze żadnych przedruków z własnych monografii czy rozpraw już wydanych, są zawsze nowe ujęcia i sformułowania: Na przykład ocena *Pieśni legionów* (I, wyd. 1938, 195): „Zawarła też na przeciąg czasu dłuższy od stulecia program literatury narodowej: być protestem przeciwko śmierci rzekomej i wieść ku nowemu pełnemu życiu”. „I godziła się z późniejszym piętnem romantycznym tej poezji, bo cóż mogło być bardziej romantyczne, tj. bardziej niezwykle, bardziej odbiegające od szarej rzeczywistości, wzięte niby z romansu dziwnego, niż dzieje legionów”. — Porównanie znaczenia *Pana Tadeusza* w życiu narodu ze znaczeniem unii lubelskiej w historii (II, 45). — Charakterystyka Mickiewicza (II, 53): „Tak zakończył się w lat przeszło dwadzieścia po ustaniu twórczości poetyckiej poemat życia — męski, heroiczny, tragiczny. Człowiekowi temu, którego wielkość ludzka przerastała wielkość artystyczną jego utworów i któremu nigdy nie wystarczała poezja, będąca dlań zresztą jedynie ujmowaniem wyników i momentów zwrotnych życia własnego i narodowego — nie dość było kształtować postaci fikcyjne; pragnął Konradowym rozpędem kształtować życie — nie tylko życie swoje, lecz życie narodu. Pełen energii, twórczy, namiętny, był kochającym ludzi typem społecznym i jednocześnie twardym, despotycznym, gwałtownym typem władcy, zawsze jednak gotowym w proch się unieść i skruszyć przed tym, co uznał za najwyższe, za Boskie. Zespolony przedziwnie z ziemią swoją i historią swego narodu, cały był dążeniem i tęsknotą — lecz nie ową nieokreśloną, rozlewną tęsknotą romantyka. Przesiąknięty poczuciem rze-

czywistości, za tym tylko tęsknił, to tylko marzył, co chciał i usiłował urzeczywistnić. Stał się dla Polski czymś więcej niż największym poetą, czymś więcej niż organizatorem i wodzem wielkiej literatury — stał się symbolem żywotności i potęgi niezniszczalnej narodu”. (To jest chyba „ostateczne słowo” o Mickiewiczu?). Oryginalność też wykazuje autor w komponowaniu sylwetek pisarzy. Materiał biograficzny dozowany bardzo oględnie i wplatany umiejętnie w tok wywodów najczęściej — subtelnej jak zwykle — analizy jakiegoś utworu, np. rozdział o Kochanowskim zaczyna się od fraszki: *Do doktora Hiszpana* (I, 61), o Mickiewiczu od charakterystyki Towarzystwa Filomatów i na tym tle osadzonej *Ody do młodości* (I, wyd. z r. 1938, 223), o Słowackim od strof *Beniowskiego* (II, 70).

Poza tymi wyszczególnionymi walorami książki Kleinera, co zauważy w niej jeszcze specjalnego nauczyciel? Zauważy w niej przede wszystkim miejsce dla siebie, bo książka pomimo swojej wielkości nie zabija indywidualności nauczyciela, nie przygniata go ciężarem problematyki, nie odbiera mu możliwości własnego wyrazu. Książka pomimo swojego charakteru encyklopedycznego pozostawia nauczycielowi aż nadto wiele okazji do rozwijania własnej pomysłowości, czy to będzie np. lekcja z *Ody do młodości*, czy *Ballad* Mickiewicza, czy z *Godziny myśli* Słowackiego. W rozdziałach syntetycznych książki, w jej wiązaniach między analityczno-krytycznymi sylwetkami pisarzy będzie nauczyciel miał możliwość kontroli swojej wiedzy fachowej, a trzeba przyznać, że np. taka charakterystyka romantyzmu (I, 1938, 269) lub najnowszej literatury (1918—1938 — II, 254) jasnością i przejrzystością swych ujęć jest poza głosem wszelkiej krytyki. Nauczyciel zrozumie też bardziej niż kto inny dystans autora w opracowaniu poszczególnych pisarzy. Obok postaci naczelných są także drugorzędne i trzecioplanowe, a są też i takie, o których wspomina się tylko ze względów biograficznych. Ta hierarchia pisarzy jest przede wszystkim korelatem programu do nauczania literatury w szkole w rozmaitych jej wydziałach i typach; są odstępy oznaczone gwiazdkami, które można pomijać w typach o mniejszym wymiarze godzin nauczania.

Nauczyciel pamiętać też będzie o tym, że tom pierwszy redakcji pierwszej poprzedzony został czterostronicową przedmową autora (z października 1931 r.), a jest ona doskonałym sformułowaniem jego programu dydaktycznego. *Zarys dziejów literatury polskiej* łącznie z *Zarysem dziejów języka polskiego* tworzy część drugą większej całości, której część pierwszą stanowią wypisy literatury polskiej a część

trzecią materiały pomocnicze. W przedmowie swojej zwraca się autor do ucznia, który jest najważniejszym chyba czytelnikiem jego książki, tłumaczy mu swoje zamierzenia twórcze, przede wszystkim omawia stosunek do wypisów, przez które „przemówić mają do młodzieży pisarze sami słowem własnym”. Ale ich lektura sama nie może wystarczyć; obcowaniu z nimi — jak mówi autor — ma towarzyszyć książka, która winna odgrywać rolę przewodnika, co pobudza uwagę młodego czytelnika, a przez odpowiednie oświetlenie ożywia i uplastycznia każde zjawisko, a wszystko łączy w organiczne zespoły, ukazuje je nie w schematach, lecz w prawdzie życia. Autor pragnie, aby jego *Zarys* był nie tylko podręcznikiem, lecz także książką do czytania. I tak jest istotnie! Pomimo związku z wypisami uczeń ma przed sobą konstrukcję samodzielną i kompozycyjnie samowystarczalną, jej zaś najwybitniejszym znamieniem to przepyszny dukt narracyjny, utrzymany na naukowej wyżynie. Jest to przepiękna opowieść wzorowo rozplanowana i metodycznie skomponowana, z celowym podziałem materiału (szczególnie przekonywającą jest data ukazania się *Sielanek* Szymonowicza jako data zamykająca okres srebrnego humanizmu!), z doskonałym przeglądem treści, zastępującym żywą paginę, świetnymi po raz pierwszy w nauce literatury stosowanymi tabelami synchronizującymi, z wysoce instruktywnymi wskazówkami w zakresie lektury, ciekawymi, nie-raz bardzo rzadkimi ilustracjami i niezwykle staranną korektą.

Nie jest to bynajmniej książka łatwa, bo nic nie jest od niej bardziej odległe, jak małość i przeciętność. Ale ze względu na swe wybitne pierwiastki energetyczne stanie się ona z pewnością dla naszej młodzieży na długie lata zarzewiem nowych wartości, sublimacją życia. Życzyć by tylko wypadało, ażeby jej reedycja — oby jak najszybsza — przyniosła autorowi należną nagrodę za wieloletni trud twardej, Bożej służby dla szkoły polskiej, bo służby tej *Zarys literatury* jest najpełniejszym ujęciem.



PRZYPISY DO ARTYKULU dra R. SKULSKIEGO

- 1) Do wspomnień tych niejeden szczegół podsunął mi dr Juliusz Baliński, za co mu na tym miejscu składam podziękowanie.
- 2) Maykowski w tym roku szkolnym został przeniesiony do V gimnazjum.
- 3) Sprawozdanie Dyrekcji gimnazjum VI we Lwowie za rok 1909/10 str. 19—32.
- 4) Cieniom Konstantego Wojciechowskiego — Sekcja polonistyczna T. N. S. W. Lwów 1925.
- 5) *Gimnazjum VI im. Stanisława Staszica we Lwowie 1902—1927 — Dzieje i ludzie.* Nakładem Komitetu jubileuszowego gimnazjum VI. Lwów 1927. — Stamtąd czerpane są niektóre szczegóły niniejszego artykułu. Tamże pomieszczony życiorys prof. Kleinera na str. 87—88.
- 6) Prof. Antoni Małecki, odkrywca Słowackiego, wieloletni profesor uniwersytetu lwowskiego był też autorem gramatyki.
- 7) Ryszard Skulski: *Ze świata czytanek szkolnych.* Przegląd Humanistyczny, rok VII, 1932, zeszyt IV i V, str. 445—456.

Biblioteka Główna UMK



300021517605

Zakłady Graficzne Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w Łodzi

184/48 — D-04113